

Rozdział 4

Rewolucja pod górkę.

Komisje Robotnicze Polskich Linii Oceanicznych i Polskiej Żeglugi Morskiej łączyły więzy przyjaźni. Znałem tam mnóstwo ludzi, bo przepływałem u tego armatora pierwsze dziesięć lat, a wielu kolegów Magdaleny z działu Inwestycji Okrętowych było zaangażowanych w pracach Komisji. Ułatwiło to znakomicie współpracę.

Pewnego razu Wiesław Polczyk, który reprezentował PŻM w Międzyzakładowej Komisji Robotniczej i brał udział w pracach Prezydium, zabrał mnie na jedno z jego posiedzeń. Wyrażono zgodę bym uczestniczył w obradach jako obserwator. Marynarzy lubiano, darzono zaufaniem.

Przycupnąłem z boku koło pieca, słuchałem i przypatrywałem się z podziwem znakomitościom ze strajku stoczniowego.

Stanisława Wądołowskiego już poznałem, Marianowi Jurczykowi ścisnąłem dłoń, Andrzej Zieliński, to już "stary" znajomy. Protokołowała Maria Chmielewska - żołnierz Armii Krajowej. Obecny był sygnatariusz porozumienia Marian Juszczyk, smagły jak Cygan. Obok niego w tweedowej marynarce, pod krawatem, Jarosław Mroczek.

Trafiłem wyjątkowo, bo przy stole zgromadziła się Komisja Mieszana w pełnym składzie. Był Mieczysław Soszyński portowiec, Aleksander Krystosiak ze Stoczni Remontowej "Parnica.

To oni byli filarem powstającego związku. Zwracano się do nich z pytaniami, z prośbą o interwencję, załatwienie sprawy. Rząd, premier, wicepremier, wojewoda, członek Biura Politycznego, minister, powtarzały się słowa. Ze względu na swoje specjalne uprawnienia jakby się wyodrębniali od pozostałego Prezydium. Ale atmosfera była rodzinna.

Uderzyła mnie łatwość wypowiedzi, trafna ocena tematów. Wśród siedzących za stołem było wielu robotników. Wydawało się mi, że po czterdziestu latach jednostronnego dialogu Partii ze społeczeństwem, ludzie zapomnieli języka w gębie, że zostali zepchnięci do defensywnego myślenia, by przeżyć, związać koniec z końcem.

Z podziwem patrzyłem na miłą blondynkę Lucynę Plaugo z Centrali Materiałów Budowlanych, która wartko i zdecydowanie, nawet ostro, omawiała rozmowę z wojewodą na temat pogarszającego się zaopatrzenia sklepów.

Była dziesiąta. Dwie godziny zleciały jak z bicza. Co chwila otwierały się drzwi i zaglązano do środka. Część Prezydium pozostała, by porozmawiać z tymi co już tłoczyli się na schodach. Inni wyruszyli w „teren”.

Leszek Dłouchy, redaktor "Jedności", organu MKS a teraz MKR, poprosił mnie bym podrzucił go do Papierni w Skolwinie.

- Ma się ukazać następny numer i trzeba zawieźć płyty. Sprawa jest delikatna, bo druk odbywa się jeszcze na zasadzie konspiracji.

Pojechałem z chęcią. Byłem cennym nabytkiem, miałem własny środek lokomocji, a to się wtedy liczyło.

Do moich obowiązków doszła teraz praca społeczna w MKR. Sprawiedliwie dzieliłem ją z Komisją Robotniczą PLO. Wieczorami siedziałem za biurkiem i zapisywałem dziesiątki kartek protestami, komunikatami, sprawozdaniami. Od czasu do czasu wyjeżdżałem do Gdyni, a także na posiedzenia Krajowej Komisji Porozumiewawczej do Gdańska, czy Warszawy. Palłem jak smok, ale nie brałem do ust alkoholu. Po pierwsze, nawał pracy na to nie pozwalała, po drugie, ze względów bezpieczeństwa.

Byliśmy przekonani, że w SB nie zapomniano o nas i tylko czekają na sygnał, by uruchomić swój bogaty arsenał przestępczych metod. Należało więc zachowywać ostrożność, nie poruszać się samemu i nie dawać im okazji, jak na przykład jazdą samochodem, choćby z maleńkim promilem alkoholu.

Po powrocie z rejsu Tadeusz Hundert wrócił do Komisji Robotniczej. Ustaliliśmy, że przejmie większość spraw w przedsiębiorstwie, a ja naszą Komisję będę reprezentował na zewnątrz.

Przez wiele następnych miesięcy nie oglądałem telewizji, nie słuchałem radia, przeglądałem pobieżnie gazety, wyłączyłem się z życia towarzyskiego, a do tego towarzyszyło mi nieustanne napięcie.

Członkowie MKR i „wolontariusze” zajmowali się wszystkim i każdym, kto zapukał do drzwi. Dopiero z biegiem czasu zarysował się pewien szkielet organizacyjny.

W sekretariacie królowała Maria Chmielewska i ona brała na siebie całe uderzenie petentów. Wspomagała ją później Lucyna Plaugo. Pani Maria, poza normalną pracą sekretarki, rejestrowała powstające komisje robotnicze i udzielała informacji. Była przeciążona pracą i nieraz nie panowała nad nerwami. Niektórzy mogli sądzić, że jest formalistką (prawdopodobnie dlatego nie wybrano jej później do Zarządu Regionu). Kobieta o dużej odwadze, mrówczej pracowitości, niezłomnego charakteru. W czasie Drugiej Wojny Światowej łączniczka w Armii Krajowej, wierna towarzyszka wszelkich akcji strajkowych i protestów w stoczni. Miałem zaszczyt poznać ją bliżej.

Stanisław Wądołowski przejął rolę ambasadora MKR już podczas strajku sierpniowego wyjeżdżając do Gdańska. Był nie tylko członkiem Krajowej Komisji Porozumiewawczej, ale jeździł po Polsce, służąc swym doświadczeniem. Brał udział w sporach związku z władzami wojewódzkimi. Określony był jako "strażak", wygaszał palące się ogniska strajków.

Instytucja samą w sobie była Komisja Mieszana.

Skargi, problemy, z którymi nie mogli sobie poradzić członkowie Prezydium lub wspomagający ich prawnicy, trafiały do pięciu członków MKR zasiadających w Komisji Mieszanej. Oni interweniowali u władz wojewódzkich i w Rządzie. Aleksander Krystosiak i Marian Juszczuk objęli ponadto dział interwencji wspierany przez zespół prawników: Andrzeja Zielińskiego, Mieczysława Grudę, Mirosława Kwiatkowskiego, Edmunda Kitłowskiego, Bronisława Ziemianina. Potem dołączyli do nich Jerzy Zimowski i Andrzej Milczanowski.

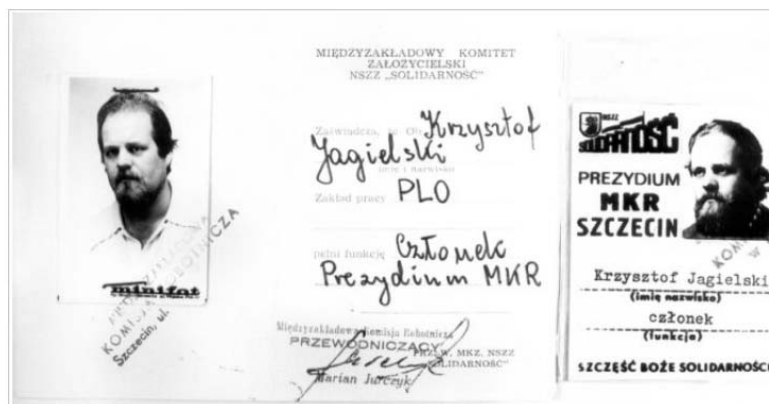
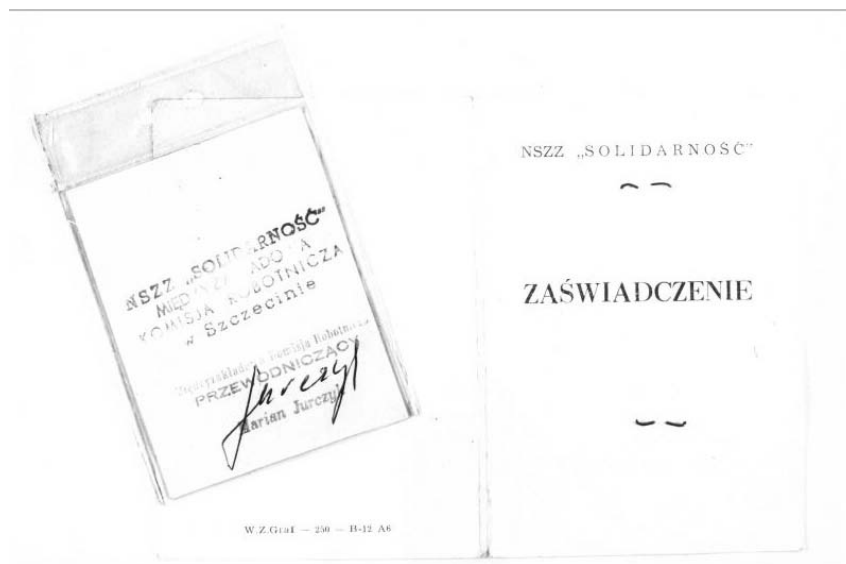
Odpowiedzialnym za kontakty z prasą i propagandę był Leszek Dłouchy, który wobec całkowitej blokady informacji, nie miał wielkiego pola do popisu. Mimo ogromnych wysiłków nie mogliśmy informować społeczeństwa o tym, co robimy. Dopiero po wielu interwencjach wojewoda zezwolił na drukowanie komunikatów MKR w "Kurierze Szczecińskim", ale dziennikarz tej gazety Jerzy Timen, uczestniczył w naradach MKR rzadko. Komunikaty ukazywały się sporadycznie.

Dłouchy nie przejmował się prasą partyjną, chciał wydawać gazetę związkową, kontynuując „Jedności” drukowanej w czasie strajku, a potem ukazującej się nieregularnie jako pismo MKR. Temu poświęcił cały swój zapał. Udało się.

Dziesiątego stycznia 1981 roku ukazał się pierwszy numer tygodnika NSZZ "Solidarność" Pomorza Zachodniego "Jedność", pierwszego pisma związkowego w Polsce. Pokonanie niechęci wydziału propagandy KC PZPR i zapewnienie dla gazety przydziału papieru było nieprawdopodobnym sukcesem Leszka.

Na prośbę Mariana Jurczyka i Stanisława Wądołowskiego, zająłem się kontaktami ze środkami masowego przekazu. Chcieli także bym pomagał Leszkowi przy wydawaniu „Jedności” Od pracy redakcyjnej trzymałem się jednak z daleka, bo nie miałem o niej pojęcia.

Poinformowałem Leszka, że Marian i Staszek mają do niego pretensje o to, iż zaniedbuje propagandę i kontakty z prasą. Wobec czego ja biorę to na siebie, a do „Jedności” nie będę się wtrącał. Leszek był zadowolony. Pozbył się niewygodnego balastu.



W przedsiębiorstwach, które nie strajkowały, zakładano komisje robotnicze, a tam, gdzie już były, myślano o wyborach do Komisji Zakładowych. Popyt na informację był ogromny, szczególnie w małych miasteczkach, wsiach, czy też PGR-ach. Ponieważ w Szczecinie i województwie działały setki komisji robotniczych, do których należało dotrzeć, w MKR powstał zespół informacyjno-wyborczy.

Należeli do niego Zdzisław Wójcik, Grzegorz Durski, Bogdan Baturo, Jan Nowak, Kazimierz Kostrzewski, Franciszek Skwierczyński, Tadeusz Wróblewski, Lucyna Plaugo, Eugeniusz Szutkowski. Oczywiście pozostali członkowie prezydium i tacy wolontariusze jak ja, Tadeusz Wróblewski, Ryszard Kustro, Waldemar Ban, Edward Rochatyński, Zdzisław Kacprzak, Stanisław Kocjan, Krzysztof Kubicki, Michał Kurowski, Adolf Szutkiewicz, Jan Tarnowski, Jerzy Mirski i inni, pracowali na równi z pozostałymi.

Nareszcie MKR otrzymał nowy, przestronny, wielopokojowy lokal na Firlika 8, w gmachu Straży Pożarnej. Żartowaliśmy, że usadowiliśmy się w niezłej twierdzy, dysponowaliśmy sikawkami, zapasem piany, hełmami, toporkami i innym strażackim sprzętem. Wchodząc na ostatnie piętro do MKR, można było po drodze oglądać ten arsenał zgromadzony w

magazynach.

Pewnego razu gdy oglądałem nowe pomieszczenia, Maria Matianowska, nauczycielka historii, kobieta bardzo religijna, łączniczka pomiędzy MKR a Kurią Biskupią, organizatorka mszy świętych, poprosiła mnie bym pomógł jej i w każdym pokoju powiesił już wcześniej poświęcone krzyże.

Podczas zebrania Prezydium, zgłosiłem wniosek o zdjęcie krzyża w sali konferencyjnej. Uzasadniałem to tym, że nie jesteśmy związkiem chrześcijańskim, że należą do niego również niewierzący i innych wyznań, więc powinniśmy tutaj zachować neutralność. Na wszelki wypadek przypominałem, że sam krzyże te wieszałem, i że jestem praktykującym katolikiem. Myślałem, że mnie na miejscu ukamienują.

Krzysztof Kubicki, mój serdeczny przyjaciel, stocznowiec, postury Zagłoby, zerwał się z miejsca i tubalnym głosem zawołał:

- Ma tak być! Dopóki my jesteśmy tutaj, to będą! Jest nas dziewięćdziesiąt procent katolików!

Popatrzyłem po rozgorączkowanych twarzach. Wolałem wycofać wniosek.

Codzienne posiedzenia Prezydium były chaotyczne i żywiołowe. Trwały od ósmej do dziesiątej. Przewodniczył Marian Jurczyk lub Wądołowski. Ponieważ obaj byli często nieobecni, utarło się, że zastępował ich Stanisław Kocjan - jak sam siebie określał "jeden robotnik z dyplomem inżyniera".

W Prezydium, reprezentując Zakłady Chemiczne w Policach, zyskał sobie sympatię nie tylko urokiem osobistym, ciemnowłosa, z sumiastym wąsem, szczupły, wysoki o ujmującym sposobie bycia, ale także przez logiczne, składne wyrażanie się, znamionujące dużą inteligencję. Miał to, co stanowi o popularności trybuna ludowego, łatwość nawiązywania kontaktów. Gdy usunięty z Komisji Mieszanej Mieczysław Soszyński, członek Prezydium, jego miejsce zajął Kocjan. Rozpoczął błyskotliwą karierę w nowym związku, której nie zachwiał nawet anonim przysłany z SB.

Marian Jurczyk pokazał mi grubą kopertę z odbitkami akt sądowych. Nie chciałem ich czytać i powiedziałem by wrzucił je do kosza.

Na zebraniu Prezydium, Stanisław Kocjan przyznał, że był karany za rozbój, ale było to bardzo dawno. Jeżeli uznamy, że musi odejść, to wycofa się z dalszej działalności związkowej. Jednak jednomyślnie zadecydowano, że pozostaje.

Wiele spraw na dobrą sprawę, mogło być załatwianych poza Prezydium lub bezpośrednio przez Komisje Robotnicze. Przyjmowano przeróżne delegacje, które absorbowały nas sprawami nie istotnymi dla Regionu czy Związku. Napór ludzi był wielki, a nam brakowało doświadczenia. Tego doświadczenie brakowało wszystkim. Dotychczas o wszystkim decydowała partia i rząd.

Przekonałem Jurczyka i Wądołowskiego, by zaprowadzić jakiś ład, bo w końcu nie zapanujemy nad tym żywiołem. Organizowałem więc codzienne posiedzenia. Ustalałem wcześniej tematy i referenta. Wybierałem naprawdę ważne i nie cierpiące zwłoki sprawy a to, co było możliwe, pozostawiałem do omówienia poza Prezydium. Moje dobre chęci nie wystarczały. Po kilku próbach dałem za wygraną. Rewolucja wlażyła przez szpary w drzwiach i zrozumiałem, że nie da się jej wepchnąć w sztywne ramy organizacyjne. Pocieszałem się jedynie tym, że inne MKR, czy MKZ cierpiały na podobną chorobę.

Kręcąc się po MKR szukałem odpowiedzi na dręczące mnie pytania: dlaczego Szczecin zakończył strajk o jeden dzień wcześniej, dlaczego dwa główne ośrodki strajkowe podpisały

porozumienie, gdy stało jeszcze pół Polski? Mógł powstać Ogólnopolski Komitet Strajkowy z siedzibą, na przykład w Gdańsku, który wywalczyłby prawdopodobnie, więcej ustępstw politycznych. W Szczecinie nikt się nad tym nie zastanawiał.

Do Szczecina, w czasie strajku sierpniowego, zgłaszały się przedsiębiorstwa z całej Polski i pojawiła się wtedy realna możliwość zorganizowania Ogólnopolskiego Komitetu Strajkowego. Ale tymi zakładami z głębi kraju nikt się nie interesował. Czyżby mścił się rok 1970, kiedy to strajki ograniczyły się do Wybrzeża, a reszta kraju przyglądała się temu biernie?

Gdy w pierwszych dniach strajku delegacja szczecińskiego Komitetu Strajkowego udała się do Stoczni Gdańskiej, aby nawiązać ścisłą współpracę i ustalić wspólną strategię, Szczecinian przyjęto wręcz źle i traktowano w czasie całego pobytu w Gdańsku jak intruzów. Domagano się, by prowadzili tylko strajk solidarnościowy, a im pozostawili rozmowy z Rządem. Było to, mówiąc delikatnie, niezręczne posunięcie, obrażające przedstawicielstwa załóg zgromadzone w Stoczni Szczecińskiej. Pytanie, jaki był powód zimnego przyjęcia szczecinian, pozostaje otwarte jak wiele, wiele innych dotyczących także Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Szczecinie.

Dlaczego: zagranicznym reporterom robiącym zdjęcia niszczone filmy? Dlaczego ekipie telewizyjnej BBC kazano opuścić teren przed bramą stoczni?! Dlaczego dziennikarzy zachodnich nie wpuszczano do środka? Dlaczego Stefan Kozłowski, działacz Wolnych Związków Zawodowych był izolowany, a prasa KOR przeznaczona dla niego konfiskowana? Dlaczego reporterzy krajowi mieli utrudniony wstęp? Dlaczego Małgorzata Szajnert i Tomasz Zalewski, którzy pisali kronikę dni strajkowych (o bezcennej dziś wartości), nie spotykali się ze zrozumieniem? Dlaczego Janusz Korwin-Mikke z Warszawy, doradca MKS, został wyrzucony za bramę (zaopiekował się nim Zdzisław Kacprzak)?

Stocznia Szczecińska została zamknięta przed dziennikarzami i opozycją. Czy MKS podejmując taką decyzję wykazywał brak doświadczenia, naiwność, sposób myślenia narzucony przez trzydzieści pięć lat panowania komunistów, czy też była to zaplanowana taktyka, którą konsekwentnie realizowano? A może niektórzy członkowie MKS z powodzeniem stosowali sabotaż?

Wiele zasadniczych decyzji podejmował sam Marian Jurczyk i on miał zasadniczy wpływ na rozwój wydarzeń w Stoczni Szczecińskiej. Pytanie, na ile były to jego własne przemyślenia a na ile jego doradców? Gdy poprosiłem Mariana Jurczyka, podczas jego pobytu w Szwecji w 1988 roku, o wyjaśnienie niezrozumiałego zachowania się Komitetu Strajkowego, odpowiedział: "Przyznaję, że był to błąd, nie należało tego robić". Jaki wpływ na przebieg strajku mogły mieć manewry Paktu Warszawskiego, pogrożki z Moskwy i satelickich stolic, psychoza lądujących w okolicach Szczecina komandosów sowieckich? Co mógłby powiedzieć Bogdan Baturo, członek MKS, który był codziennym łącznikiem między Marianem Jurczykiem a Kurią Biskupią i często konferował z Przewodniczącym na osobności. Baturo odegrał dużą rolę w konsekwentnym niedopuszczaniu nikogo z zewnątrz i konfiskowaniu prasy opozycyjnej. Dlaczego? O czym wiedziała Kuria Biskupia i jak była jej rola doradczą?

Zadawałem te pytania wielu osobom, ale odpowiedzi były mgliste, niewystarczające. Wielu, już po strajku, zdawało sobie sprawę, że popełniono błędy i woleli nie przyznawać się do nich.

Jeżeli w mojej macierzystej Komisji Strajkowej zostali umieszczeni ludzie, którzy mieli za zadanie rozsadzić nas od wewnątrz, to nie był to przypadek odosobniony, lecz symptomatyczny, stosowany powszechnie jak Polska długa i szeroka.

Dziwne rzeczy poczęły się dziać po zakończeniu strajków. W Jastrzębiu MKS ustąpił przewodniczący Jarosław Sienkiewicz (widział związek zawodowy pod sztandarem PZPR); w

Krakowie, przewodniczący Stanisław Zawada.

A w Szczecinie z MKS odeszli - Kazimierz Fischbein, zastępca Przewodniczącego i sygnatariusz porozumienia, Stanisław Serafin i Wiesław Wojan (partyjni).

Mieczysław Soszyński za wypowiedź dla tygodnika "Jantar", o związkach zawodowych pod ideowym kierownictwem Partii, został usunięty z Prezydium MKR i wycofany z Komisji Mieszanej (gwoli ścisłości zapisu historycznego, muszę dodać, że brałem udział w posiedzeniu MKR, kiedy rozpatrywano jego sprawę, ale wstrzymałem się od głosu, chociaż też byłem zdania, że należy go wyrzucić; miała to jednak uczynić jego macierzysta Komisja Zakładowa, a my mogliśmy tylko ograniczyć się do zawieszenia go w obowiązkach).

Następnie dymisję złożyli: Marian Juszcuk, wiceprzewodniczący MKS i sygnatariusz porozumienia, Jarosław Mroczek, członek Prezydium MKS i Andrzej Zieliński, doradca prawny.

Niestety nie zaspokoilem swojej ciekawości. Postanowiłem, że kiedyś w przyszłości, kiedy po temu będą odpowiednie warunki wyjaśnię, co działo się za kulisami MKS.

Pewnego razu do MKR duńscy studenci przynieśli w plecakach, rozłożoną na części, maszynę drukarską (bo było łatwiej szmuglować) i zaczęli ją natychmiast montować. To była dla nich wielka przygoda! Fatygowali się specjalnie z odległego kraju, przemycali, konspiracyjnie wspomagali wolny od komunistów związek. Dziękowaliśmy im i ugościliśmy, bo byli prosto z drogi.

Lecz Andrzej Zieliński zdecydował: - maszyna przemycona, nie zarejestrowana, nie może stać w MKR. Możemy mieć nieprzyjemności.

Studenci zgłupieli, nie rozumieli, że maszyna jest nam niepotrzebna. Myślałem, że się zapadną pod ziemię. Zadbalem jednak, aby trafiła pod dobry adres (podziemie).

Prezydium Międzyzakładowej Komisji Robotniczej składało się w przeważającej części z pracowników Stoczni (na ich terenie powstał MKS). W między czasie kilku z nich zrezygnowało ze swoich tam funkcji i powróciło do PZPR.

W miarę upływu czasu Prezydium musiało sprostać zwiększającym się obowiązkom. Przedstawiciele dużych zakładów przemysłowych nie mogli być biernymi widzami i bywać w MKR jako goście. Z otwartymi ramionami witano chętnych do współpracy. W ten sposób i ja się tam znalazłem, bez żadnych formalności. Jak się jednak okazało, nie wszyscy posiadali mandaty swoich komisji robotniczych.

Jaskrawym takim przypadkiem było usunięcie z Prezydium żony Jarosława Mrocza. Nie miała mandatu macierzystej komisji. Mandatariuszami byli doktorzy: Michał Kurowski i Zbigniew Zdanowicz oraz pielęgniarka, śliczna dziewczyna, Małgorzata Malinowska.

Jarosław Mroczek oburzony zaprotestował. Wsparli go solidarnie Andrzej Zieliński i Marian Juszcuk. Oskarżyli Wądołowskiego i Prezydium o zemstę za to, że głosowała przeciwko strajkowi ostrzegawczemu. Nie mieli racji.

Pojawił się też problem z nauczycielami. Spory, kto ma ich reprezentować w MKR, ciągnęły się dosyć długo. Należało więc zweryfikować listę, poprosić uczestników o mandaty, a ponieważ zdarzały się wypadki podszywania się pod MKR obcych osób, trzeba było pomyśleć o legitymacjach.

Składy osobowe Komisji Robotniczych i MKR ulegały częstym zmianom. Jedni odchodzili, bo praca związkowa ich nie interesowała, drudzy wracali do bezpiecznych szeregów partyjnych, a inni jeszcze rezygnowali, bo odkryto, że współpracują z SB. Zmieniali się przewodniczący, ich zastępcy, członkowie prezydium.

Nie zdziwiło mnie, gdy Marian Jurczyk oznajmił pewnego dnia, że Stanisław Wądołowski będzie jego zastępcą. Dotychczas było dwóch: Fischbein i Juszczuk. Pierwszego, już w czasie strajku, za sympatię do rządu i partii, traktowano chłodno. Przychodził rzadko na posiedzenia MKR, siadał z boku. Demonstracyjnie nie zauważano go, aż pojawiać się przestał.

Marian Juszczuk, członek Komisji Mieszanej czuł się urażony zachowaniem Jurczyka ale nie zgłosił oficjalnego sprzeciwu. Wyrażał swój żal w prywatnych rozmowach. Andrzej Zieliński i Jarosław Mroczek ujęli się za Juszczukiem. Oskarżyli Prezydium o brak demokracji i powrót do "starych" czasów. Gdyby nawet Jurczyk poddał pod głosowanie kandydaturę Wądołowskiego, to Prezydium w takim składzie, jakim było, poparłoby przewodniczącego.

Przy związku poczęli się skupiać ci, którzy widzieli w nim nadzieję na odzyskanie Niepodległości. To wykluczało wszelką współpracę z partią i ludźmi, którzy byli skłonni z nią rozmawiać. Nie zapomniano terroru komunistów po wojnie, Poznańskiego Czerwca 1956, Wybrzeża 1970, Radomskiego Czerwca 1976.

Zaproszenie do Andrzeja Zielińskiego na "oblewanie" dyplomu magisterskiego, Magdalena i ja, przyjęliśmy z zadowoleniem. Gospodarze byli sympatyczni, a poza tym, mogliśmy prywatnie poznać zaproszonych uczestników Komisji Mieszanej. Nie przybył tylko Aleksander Krystosiak.

Stół był suto zastawiony, nie brakowało alkoholu. Atmosfera znakomita. Nas, przyjaciół Andrzeja, traktowano jak swoich. Rozmowy toczyły się swobodnie. Gospodarz promieniał. Przyszłość zapowiadała się obiecująco: skończone studia prawnicze, doradca powstającego związku zawodowego, członek Komisji Mieszanej, dająca możliwość popularności i poznanie wielu prominentów rządu i partii. Uznanie przez te dwie strony mogło prowadzić tylko do błyskotliwej kariery.

Nie piłem alkoholu, mogłem uważniej przysłuchiwać się rozmowom. W miarę upływu czasu, entuzjazm wzrastał niepomierne. Chwalono Barcikowskiego, Brycha Sekretarza Wojewódzkiego PZPR, Passenta, Rakowskiego, są po naszej stronie, gwarantują porozumienie narodowe. Od nich wiele zależało. Oczywiście musieli lawirować, bo beton partyjny był silny. Ale są za reformami.

Panie podzielały te poglądy, eksponując osobiste cechy prominentów rządu i partii, jacy są serdeczni, grzeczni, dobrze wychowani, ile to już razy pomagali w kupnie nieosiągalnych na rynku towarów. Wystarczył jeden telefon. No oczywiście, nie należy przesadzać, nie narzucać się. Ich czas jest przecież cenny.

Albo upiję się i rzucę się na nich, pomyślałem, albo natychmiast wyjdę. Gdzie ja jestem? To przecież kwiat naszego związku! Wymyśliłem jakiś pretekst i wyszedłem z Magdaleną, która miała też serdecznie dosyć tego wszystkiego. Do domu poszliśmy okreśną drogą przez las, by otrząsnąć się z niemiłych wrażeń.

Po powrocie z Gdańska, gdzie siedemnastego września odbyło się spotkanie przedstawicieli MKZ z całej Polski, na którym powołano Krajową Komisję Porozumiewawczą, doszliśmy do wniosku (Stanisław Wądołowski, Krzysztof Kubicki i ja), że dalsze działanie Komisji Mieszanej staje się zbędne. Rolę jej przejmuje Krajowa Komisja Porozumiewawcza w Gdańsku. Szczecin nie może prowadzić odrębnej polityki.

Gdy Wądołowski podzielił się tymi uwagami na Prezydium, nie wzbudziło to specjalnego zainteresowania. Przeciwnie, uznano dalszą pracę Komisji Mieszanej za konieczną i pożyteczną.

Po czterdziestu latach krzywd, nowy związek był nadzieją na ich naprawienie. Ludzie przychodzili tłumnie ze swoimi żałami, z wiarą, że zostaną nie tylko wysłuchani, ale i od ręki załatwieni

Komisja Mieszana odgrywała rolę zebrała, wyciągającego rękę do przeciwnika, który mógł sobie pozwolić na drobne datki, nic nie znaczące gesty.

Andrzej Zieliński, Jarosław Mroczek i Marian Juszczyk byli ludźmi wykształconymi, odczytanymi i można było wymagać od nich zdrowego rozsądku. Po za Aleksandrem Krystosiakiem, nie rozumieli zasadniczej, pryncypialnej sprawy, że gwarancją zmiany na lepsze jest tylko zmiana ustroju.

Komisja Mieszana służyła wyłącznie celom propagandowym. Komunikaty redagowane były językiem partyjnym i sprawiały wrażenie, że MKR współdziałała z Partią i podziela jej poglądy. Teraz, gdy związek organizował się w strukturze ogólnopolskiej i w Gdańsku działała KKP, należało rozwiązać Komisję Mieszaną.

Dostrzegało to coraz więcej szczecińskich związkowców. Jurczyk wahał się, nie miał wyrobionego zdania, był skłonny akceptować status quo .

Imponował mu bezpośredni kontakt z rządem i Partią, chociaż był nieustępliwym rzecznikiem związku i jego intencje pozostawały poza jakimkolwiek podejrzeniem. Jednak wielkie stanowiska, nazwiska i tytuły olśniewały go. To była jego słabość.

Niezdecydowanego Jurczyka, Zieliński i Mroczek zabrali do Warszawy na rozmowy z rządem. Tam też, wraz z Leszkiem Dłouchym, udzielili obszernego wywiadu "Polityce".

Jurczyk wrócił odmieniony.

- Nie życzę sobie żadnych ataków na Komisję Mieszaną. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak twardo rozmawiał z rządem.

To było osiemnastego października. Zapomniał już o komunikacie, jaki ukazał się w prasie szczecińskiej w dniu dwudziestego czwartego września, o spotkaniu Komisji Mieszanej a w nim taki lapsus: *"ustalono wspólny pogląd, że środki masowego przekazu, a przede wszystkim prasa, winny w komentarzach wyraźniej ukazywać tendencje przeciwne ustrojowi socjalistycznemu, jakie prezentują w zachodnich środkach masowego przekazu, jak również w PRL, czołowi przedstawiciele sił antysocjalistycznych"*.

Ten komunikat i nierozważny wywiad w "Polityce" powinny być stać się powodem protestów członków Prezydium MKR, w imieniu którego przecież się wypowiedano Poza Wądołowskim, Kubickim, mną i jeszcze kilkoma kolegami, nikt tego nie uczynił. Albo nie czytali prasy dokładnie, albo podzielano jej pogląd.

Żadne Prezydium nie było poświęcone taktyce działania naszych kolegów z Komisji Mieszanej Oni też nie informowali nas o rozmowach, nie omawiali komunikatów

Komisja Mieszana była jakby poza strukturą związku, istniała sama dla siebie i z biegiem czasu zatracala samokontrolę. Woda sodowa uderzyła do głowy i to pozwoliło stronie rządowej manipulować nimi i naciągać na szkodliwe oświadczenia.

W Gdańsku uważnie czytano gazety. Wałęsa pokazywał Wądołowskiemu szczecińską prasę i z uzasadnionym rozdrażnieniem wołał:

- Co wy tam znowu w Szczecinie wyrabiacie!

Nie było nam przyjemnie. Na jednym z posiedzeń Prezydium wystąpiłem z wnioskiem o rozwiązanie Komisji Mieszanej. Argumentowałem potrzebami formalnymi, powstała ogólnopolska reprezentacja związku, KKP, więc przejęła ona automatycznie funkcje, jakie spełniała dotychczas Komisja Mieszana. Zazaczyłem, że głosuję przeciwko instytucji, a nie naszym kolegom, będącym jej członkami. Prosiłem o przegłosowanie wniosku (Wądołowski i Kubicki byli nieobecni). Jedynym głosem "za", był mój.

Ponowiłem moją propozycję, gdy w "Kurierze Szczecińskim" w dniu osiemnastego października opublikowano: *"Wytyczne do dalszej współpracy w ramach Komisji Mieszanej w Szczecinie"*, gdzie stwierdzono: *"w związku z pojawiającymi się insynuacjami, członkowie*

Komisji Mieszanej z ramienia MKR w Szczecinie ponownie oświadczają, że MKR nie ma nic wspólnego z siłami antysocjalistycznymi w Polsce. Siły te za czyny niezgodne z prawem PRL winny być pociągane do odpowiedzialności sądowej". Niestety, głosowanie i tym razem wypadło niepomysłnie, ale głosujących "za" było już znacznie więcej.

Pewne i nonszalanckie zachowanie się Mrocza, Juszcuka i Zielińskiego, nierozważne wypowiedzi, żarty Zielińskiego, który zamiast mandatu delegata pokazywał legitymację MO (byłem tego świadkiem; członkowie Komisji Mieszanej mieli legitymacje MO, by mogli swobodnie poruszać się po zakładach pracy), wszystko to wywoływało plotki.

Po zarejestrowaniu NSZZ "Solidarność", Jurczyk zrozumiał nareszcie, że Komisja Mieszana nie może dłużej egzystować. Pewnego dnia, gdy Zieliński, Juszcuk i Mroczek chcieli wyjechać do Warszawy, Marian Jurczyk powiedział im krótko:

- Nie pojedziecie, tak ustaliliśmy.

Zieliński zerwał się z krzesła i wyszedł, trzaskając drzwiami. Dwaj pozostali wahali się, ale także opuścili zebranie. Następnego dnia zrezygnowali z pracy w Komisji Mieszanej i wystąpili z MKR.

Posiedzenie Prezydium było burzliwe. Zieliński, Juszcuk i Mroczek zarzucili Wądołowskiemu, że rozrabia, Jurczykowi niedemokratyczne postępowanie. Przynieśli ze sobą stosy akt. - „To nasza praca; setki załatwionych spraw. Komisja Mieszana jest potrzebna, spełnia swoje zadanie”. Oni odchodzą ze względu na nieprzychylną im atmosferę, plotki i pomówienia.

Zabrałem głos. Powtórzyłem jeszcze raz, że występuję przeciwko instytucji, nie przeciwko nim. Odejście tak znanych osób z MKR spowoduje atak propagandy rządowej na związek, a w celu zachowania jedności, nie należy sprawie tej nadawać rozgłosu.

Apelowano, by nie odchodzili, by nie doszło do rozłamu. Byli nieprzejednani. Formalne rozwiązanie Komisji Mieszanej nastąpiło dwudziestego czwartego listopada 1980 roku. Odetchnąłem z ulgą, silny organizm zwalczył tę chorobę.

Trzej muszkietierowie z Komisji Mieszanej znikli ze sceny związkowej.

Miałem wrażenie, że Marian Juszcuk żałował nierozważnego kroku. Pracował dalej w Stoczni Szczecińskiej.

Jarosław Mroczek wybierał się do pracy na Zachodzie. Być może niezręcznie było opuścić MKR dla tak "przyjemnego" powodu. Niespodziewanie nadarzyła się okazja.

Andrzej Zieliński, którego błyskotliwa kariera nagle się skończyła, wypowiedział walkę NSZZ "Solidarność". Był radcą prawnym w kadrach Stoczni Szczecińskiej. W czasie stanu wojennego, podczas rozpraw przed Terenową Komisją Odwoławczą, występował przeciwko robotnikom wyrzuconym z pracy za działalność związkową w NSZZ "Solidarność". Udzielił wywiadu "Wiadomościom Szczecińskim," gadzinówce" partyjnej, ukazującej się na początku stanu wojennego. Odciął się od NSZZ "Solidarność", napastliwie ją krytykował i wychwalał Jaruzelskiego. Po moim opuszczeniu więzienia, spotkaliśmy się na ulicy. Andrzej podszedł do mnie i wyciągnął rękę.

- Takim jak ty ręki nie podaję.- Powiedziałem.

Zbladł i odszedł.

Czwarty muszkietier Mieczysław Soszyński powrócił do pracy w porcie i do swojej organizacji ZSMP. W czasie stanu wojennego zapisał się do nowych związków zawodowych i został ich działaczem. Tak więc życie dokonało naturalnej selekcji, oddzielając plewy od ziarna.